1923 r. PAŹDZIERNIK № 18.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redakcja: Szpitalna 1. **Administracja:** Szpitalna 12. Warszawa.

WARSZAWA — POZNAŃ.



WIELKI KONKURS MYŚLIWSKI.

Dla pobudzenia twórczości literackiej wśród ogółu myśliwych, redakcja „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ ogłasza niniejszem Konkurs Myśliwski na opracowanie jednego z trzech powyższych tematów:

1) monografja jednego z polskich zwierząt lub ptaków łownych (praca naukowo-myśliwska);
2) wspomnienie z osobistych przeżyć myśliwskich (praca literacko-myśliwska);
3) studjum o psie myśliwskim (na temat: Hodowla i próby wyżłów w Polsce).

Prace przeznaczone na Konkurs należy przesłać listem poleconym do redakcji „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“, Szpitalna 1, z zaznaczeniem na kopercie: „Praca na Konkurs Myśliwski“. Wewnątrz koperty z pracą podpisaną godłem, powinna mieścić się zapieczętowana koperta, opatrzona godłem, zawierająca nazwisko autora.

Rozmiar pracy — dowolny. Nagrody trzy — po miljon marek za najlepszą pracę w każdym z trzech działów. Pierwsza nagroda imienia ś. p. pułk. Ścibor-Rylskiego.

Ostateczny termin nadsyłania prac: 1 styczeń 1924 roku.

W skład jury prócz Komitetu Redakcyjnego wchodzą pp.: Gaczeński — kierownik Wydziału Łowiectwa w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych, Jan Grabowski — inspektor stadnin państwowych, Stefan Krzywoszewski—redaktor „Świata“ oraz dr. Zaborowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo druku wszystkich nadesłanych prac za autorskiem honorarjum.

Przed rykowiskiem.

Tegoroczne rykowisko stoi pod wielkim znakiem zapytania. Miałem szczęście cały miesiąc sierpień spędzić w Karpatach Wschodnich, na samej granicy czeskosłowackiej, w Smorzu, gdzie byłem gościem zarządcy dóbr Fundacji Skarbkowskiej, p. Jędrzejowskiego. Jest to okolica, słynna ze swych Karpackich borów, gdzie dziś jeszcze są przestrzenie pokryte lasami, których siekiera nie tknęła, gdzie przed wojną padało po 20 jeleni, między nimi niektóre o kapitalnych wieńcach, gdzie nie brak niedźwiedzi (Skolszczyzna), rysiów, żbików, a roi się od dzików i wilków. I właśnie ten ostatni zwierz, to obecnie istna plaga naszych Karpat, plaga naszego zwierzostanu. Wilki w Karpatach od czasu światowej wojny rozmnożyły się nadzwyczajnie, wyrządzają olbrzymie szkody tamtejszym bojkom i hucułom w bydle, a zwierzostan płowy niszczą niemiłosiernie. Gdy dawniej liczono tu jeleni na dziesiątki, a nawet setki, gdy na rykowisku w Smorzu, Klimcu lub Skolem padały ich dziesiątki i to wybierane, stare byki — to obecnie jelenie zaczynają być rzadkością i jeśli sprawa pójdzie dalej w tem tempie — król naszych Karpat stanie się wkrótce okazem muzealnym. Cały miesiąc sierpień spędziłem w borach smorzeńskich i klimieckich ze strzelbą w ręku. Nieraz o 3-ciej rano kluczyłem po ścieżkach, wydeptanych ongiś przez jelenie, godzinami siadywałem na kraju polan lub połonin, urządzaliśmy wreszcie polowania z naganką na dziki i wilki, a raz jedyny widziałem w bardzo dzikim i karkołomnym rewirze — Ozerze — samotnego dwunastaka. Gajowi nadto donieśli nam, iż na Liżi, górze wysokiej na 1000 mtr., pojawiło się stadko jeleni, złożone z dwu łań, dwu byków (szóstak i ósmak) i dwu cieląt — i cała ta famijja stale odwiedza lizawki, które natychmiast p. Jędrzejowski kazał solą nabić. Nadto tamtejszy leśniczy p. Krzakowski, wspominał mi, iż na stokach Baskidu, nad źró-

dłami Stryja, widział ładnego szesnastaka. I tyle byłoby jeleni na przestrzeni 10.000 morgów ogromnych tutejszych lasów. W skolskich lasach, jak mię informowali tamtejsi leśniczowie i dozorcy leśni, nie lepiej. Jeleni bardzo mało i wobec bytności wilków — wielkie pytanie, czy wogóle będą ryczeć. Spyta niejeden z naszych myśliwych, po co o tem piszę? Otóż właśnie piszę o tem tuż przed rykowiskiem, by wprost bez ogródek wypowiedzieć swe zdanie, iż tych—którzy tego roku pojadą na rykowisko — chyba za myśliwych uważać nie będzie można. Czy po to pojadą, by ubić jeszcze tego niedobitka, a do tego nie na rykowisku, bo ryczeć te jelenie wobec bytności wilków w rewirze nie będą, lecz chyba na zasiadce, dzięki wskazówkom gajowego? Czy będzie to wielka sztuka tego jelenia zabić, a czy będzie w tem naprawdę uciecha myśliwska? Wszak już tamtego roku rykowisko zawiodło zupełnie, myśliwi wrócili z trofeami bardzo podejrzanej wartości, z wieńcami bardzo marnemi, a niektórzy mimo kilkunastodniowego pobytu w górach, z jeleniem nawet się nie spotkali. I już tamtego roku padały głosy ostrzeżenia, wystarczy wymienić mi tu opinję d-ra Burzyńskiego, znanego miłośnika naszej fauny karpackiej.

W czasie od 22—26 sierpnia jelenie dzięki zimnym nocom i usposobieniu niektórych łań już porykiwały — właściwe jednak rykowisko rozpocznie się około 22 września.

Więc czas jeszcze mają zastanowić się nad tą sprawą i właściciele i zarządy naszych lasów Karpackich, panowie starostowie, a przedewszystkiem województwo stanisławowskie i tegoroczne polowanie na jelenie zamknąć. Raczej należałoby całą swą uwagę skierować na wytępienie wilków, a jelenie objąć ochroną. Spodziewam się, iż w tej sprawie wypowie swe zdanie „Łowiec“, organ Małop. Tow. Łow. — oby jednak to wypowiedzenie się nie było zapóźne.

Prof. Rudolf Wacek.

Towarzysz moich polowań pamirskich.

Towarzysz moich polowań, krajowiec, przenosił znacznie łatwiej niż my trudności, połączone z przebywaniem na wysokościach. Najmilszym jego pokarmem była garść prażonej mąki, rozbełtana w gorącej lub zimnej wodzie, przyczem w pierwszym wypadku dorzucał parę suszonych moreli. Lubił herbatę—kuk czaj, t. j. zieloną, cejlońską, którą pił bez cukru. Nasza, zwyczajna herbata nie smakowała mu. Po herbacie pogryzał kluskami z mąki (bugursak), smarzonemi na baranim lub jaczym tłuszczu, którego zapas nosił zawsze ze sobą w brudnym woreczku. Wogóle na chłód i głód był bajecznie wytrzymały. Ubierał się latem i zimą jednakowo, w barani tułup, długą koszulę i spodnie z grubego płótna, opasując się kilkakrotnie szerokim i długim wełnianym pasem. Na nogach miał uły (chodaki) z niewyprawionej jaczej skóry, włosem nazewnątrz, a na głowie czapkę baranią, włosem na wewnątrz. Szyję miał zawsze odkrytą, nawet w największy mróz i ziąb.

Jeździł na ogromnym jaku chudym, jak koń Don Kichota, — nie dawał mu bowiem najeść się do syta, twierdząc, że tłusty po górach chodzić nie może. Było to wspaniałe zwierzę, powolne jak dziecko; kroczyło ono poważnym krokiem, z opuszczoną głową i wysuniętym czarnym ozorem. Niepodobna było zmusić go do kłusa, ale godzinami szedł bez odpoczynku, ciągle równym krokiem, po najstraszniejszych zboczach nad przepaściami lub po lodowcach, nigdy nie potykając się, ani nie ślizgając. Zamiast uzdy miał drewniane kółko w nosie z przeprowadzonym przez nie sznurkiem. Oprócz właściciela jak niósł i cały jego majątek: kołderkę, na której właściciel we dnie siedział na siodle, a w nocy spał, kociołek, czajnik, kubek w futerale, miskę drewnianą dla psa, juki, w których były zapasy mąki, suszonego mięsa, herbaty, prochu i kul.

Broń myśliwego stanowiła długa, bardzo ciężka jednorurka, z niezgrabnem łożem i podpórkami do ustawiania broni podczas strzelania. Strzelba zapalała się lontem. Odtylcówek, a nawet pistonówek krajowcy tamtejsi nie używają z powodu trudności zaopatrzenia się w odpowiednie ładunki.

Nieodstępnym towarzyszem myśliwego był pies, także straszliwie chudy, który biegł tuż koło jaka na krótkiej smyczy, a w nocy spał na kołderce w nogach swego pana. Tresura psa była nadzwyczajną. Psina zupełnie przystosowywała się do swego pana. Przy podchodzeniu zwierzyny—godzinami czołgał się cichaczem na brzuchu, nigdy nie zaskomlał, niczem się nie zdradził. Dopiero po strzale z wściekłem ujadaniem rzucał się na wroga, odciągając całe niebezpieczeństwo na siebie, aby dać czas swemu panu nabić broń i przygotować się do strzału.

Z psem i jakiem towarzysz mój miesiącami sam jeden błądził po pustyni, wyśmienicie znał zwyczaje wszystkich jej dzikich mieszkańców. Nie mając pojęcia o kompasie, doskonale orjentował się we dnie i w nocy, nie tracąc kierunku nawet w największe burany.

Żył z tego, co mu przynosiła strzelba, przywożąc do domu skóry zabitych zwierząt i suszone mięso, które wymieniał w sąsiedniej Kaszgarji na mąkę i inne potrzebne mu towary.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

Z nad polskiego morza.

Lato roku bieżącego spędziłem nad morzem, w Jastarni, na mierzei Puckiej. Włóczyłem się ze strzelbą po półwyspie, badając faunę, której poznanie z powodu dzielących ojczyznę granic było dla nas dotychczas mało dostępne. Polowałem też na błotne i wodne ptactwo, chcę więc podzielić się z czytelnikami „Przeglądu“ wrażeniami i spostrzeżeniami.

Sezon letni jest tam pod względem łowieckim martwy, ptaków lęgowych stosunkowo bardzo mało. W nielicznych trzcinach nad zatoką spotkać czasem można stadko młodych krzyżówek, trafiają się perkozy. Na łąkach od strony zatoki lęgną się czajki i bojowniki, na brzegach zatoki brodźce piskliwe (Tringoides hypoleucus), a nad pełnem morzem miejscami dżdżowniki małe (Aegialitis dubia). W mokrym lesie pomiędzy Jastarnią a Kuźnicą lęgną się słomki; miałem oczywisty dowód tego dziwnego faktu, spotykając dwa razy samczyka w końcu czerwca i na początku lipca. Rzecz dziwna, że nigdzie, pomimo odpowiednich miejsc i warunków, nie spotkałem kszyka, ani lęgowego, ani przelotnego.

Na pełnem morzu w środku lata widywałem przez lornetę olbrzymie stada czarnych markaczek (Eodemia nigra), pojedyńcze sztuki lub pary nurów czarnoszyich (Colymbrus arcticus) i wielkich szlacharów (Merganser merganser), na zatoce zaś zdaleka czarne wielkie kormorany, małemi stadkami albo pojedyńczo.

Od połowy czerwca zaczyna się powolny przelot ptaków północnych. Pierwsze zjawiają się kuligi średnie (Numenius phaeopus) w stadkach od 5 — 20 sztuk. Te, upodobawszy sobie jakąś miejscowość, trzymają się w niej do późnej jesieni, żerując na łąkach i brzegach zatoki.

Pozatem w lipcu spotykałem kuligi wielkie (Numenius arquatus), szlamniki rdzawe (Limosa rufa), biegusy islandzkie (Tringa canutus) i liczne stadka biegusów górnych i krzywodziobych (Tringa alpina i subarquata), a w sierpniu, prócz wymienionych, — kwokacze i brodźce śniade (Totanus glottis i fuscus), kamuszniki (Arenaria interpres) i siewnice (Squatarola helvetica).

Małe kuliczki nie są zbyt ostrożne, ale większe, zwłaszcza kuligi i siewnice, bywają nad wyraz trudne do podejścia na otwartym terenie pobrzeża i łąk.

Trudności te działały na mnie zachęcająco i z zapałem oddawałem się sportowi podchodzenia czujnej zwierzyny. Kuligów średnich było najwięcej i na nie specjalnie polowałem, licząc inne sztuki, jako trofea przypadkowe.

O podejściu na czystej łące, gdzie ptaki żerują w ciągu dnia, — niema mowy. Spędzone jednak pod wieczór, lecą najczęściej ku wybrzeżu i siadają nad samą wodą zatoki. Tam można się podkraść, pełznąc na brzuchu, z poza niskiej wydmy i strzelać w lot do zrywających się ptaków. Ale jednolitość terenu i jednostajny wygląd wydm niezmiernie utrudniają sprawę, gdyż prawie niepodobna, zbliżając się od strony łąki, poznać miejsce, gdzie ptaki siadły.

Rozmyślałem więc nad jakimś sposobem zwyciężenia chytrej zwierzyny i całemi godzinami obserwowałem przez lornetę zachowanie się i sposób bycia ptaków. Zauważyłem też rzecz, którą można było wyzyskać w celach myśliwskich, mianowicie, że lecące stadko, lub pojedyńcze sztuki bardzo chętnie przysiadały się do siedzących już na brzegu ptaków, skręcając nawet nieraz w bok z obranej drogi.

To mi podsunęło myśl zapolowania z bałwankiem. Ściągnąłem więc z zabitego kuliga skórkę, wypchałem i, nadając odpowiedni kształt stojącego ptaka, przymocowałem na deseczce. Następnie na wydmie nadbrzeżnej, w miejscu często przez ptaki odwiedzanem, wykopałem dół lejkowaty i urządziłem budkę, jak na toki cietrzewie, z której mogłem strzelać wzdłuż wybrzeża w obie strony.

Przeczekawszy kilka dni, by zwierzyna przywykła do budy (która, nawiasem mówiąc, bardzo mało była widoczna), wybrałem się pod wieczór na polowanie, niosąc pod pachą wypchanego ptaka. Umieściłem go na samym brzegu wody, liżącej spokojnie biały piasek, wkopując deseczkę, a sam zasiadłem w budzie.

Nowy sposób łowów nie zawiódł mych oczekiwań: po półgodzinie lecące wzdłuż brzegu małe stadko kuligów podleciało i rozsiadło się na brzegu, biegnąc szybko ku domniemanemu towarzyszowi.

Strzeliłem i zabiłem jednego, a reszta odleciała, ogłaszając okolicę przeciągłem zawodzeniem.

Niedługo czekałem, gdy znów nadleciał pojedyńczy kulig i też legł od mego strzału.

Sposób okazał się dobry, jednak blizkie strzały do siedzących przestały mię nęcić, więc postanowiłem spróbować małokalibrowego karabinka. I tu dopiero w całej pełni mogłem odczuć przyjemność tego polowania. Cichy klask małego ładunku nie przerywał ciszy wieczornej, nie mącił grzmiącym dysonansem harmonji przyrody.

Kuligi średnie, a także duże trzymały się również między Jastarnią a Helem od strony zatoki, na samym brzegu, do którego tuż blizko podchodzi wysokopienny las. Siadywały tam jednak najczęściej na wydłużonych cyplach piaszczystych, wrzynających się w morze na kilkadziesiąt metrów, tak że strzał śrótowy od wydmy, porosłej lasem, był nieco zadaleki. Tam również bardzo pożytecznym okazał się mój karabinek.

W miejscu tem zauważyłem dość ciekawą rzecz, a mianowicie, że kuligi w czasie, gdy

w lecie dojrzały czarne jagody, całemi stadkami wędrowały wgłąb boru i żerowały na jagodziskach. Były jednak zawsze bardzo ostrożne i nawet w gęstym lesie i krzakach zrywały się poza strzałem, wystawiając zawsze straż, oznajmującą donośnym alarmującym trelem o zbliżaniu się wroga.

Na tem leśnem pobrzeżu spotykałem też mewy, trzymające się zwykle wielkiemi stadami pomiędzy Jastarnią i Helem. Widziałem przeważnie dwa gatunki: zwykłą mewę szarą (Larus canus) i wielką siodłatą (Larus marinus). Raz tylko daleko nad morzem zauważyłem mewę, która mi się wydała wielkości czapli, nie mogłem jednak z powodu odległości rozróżnić gatunku.

Najciekawsze przeloty rozpoczynały się właśnie w czasie, gdy zmuszony byłem opuścić śliczne wybrzeża morskie i wracać do Warszawy. W ostatnich dniach zjawiły się nowe stadka różnych kulików, a już z okna wagonu widziałem na łąkach pod Wielką Wsią chmary ptactwa, rojące się na brzegu zatoki.

Włodzimierz Korsak.

EWOLUCJA NASZEJ ETYKI MYŚLIWSKIEJ.

Od zamierzchłych wieków po dziś dzień polska etyka myśliwska, jak gwiazda przewodnia wskazuje drogę, którą iść powinno łowieckie prawo. W dziejowym rozwoju postęp jej widzimy na każdym kroku. Możemy z niej być dumni, gdyż pozwoliła nam wyprzedzić pod wieloma względami prawodawstwo Zachodu. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, iż wszystkie proste etyczne zasady, które dziś wydają się nam jasnemi jak słońce, znane już były naszym przodkom. Każdą z nich wywalczyło inne pokolenie, o niektóre, najprostrze, stoczyć trzeba było zażartą walkę, zanim zdobyły sobie uznanie i uświęcone zostały prawem.

Niektóre zaś prastare zasady łowieckiej moralności pokutują do dnia dzisiejszego w pojęciach ludu i trwają niepożyte mimo zmian, jakim od tego czasu uległo nasze prawo myśliwskie.

Do tych ostatnich należy prawo ces. Ottona z r. 945, zachowane w Polsce X wieku, ugruntowane na odwiecznej tradycji słowiańskiej, mocą którego „dzikie zwierzęta, ptaki i ryby i wszystko co się na ziemi, w morzu i na powietrzu lęgnie złowione przez kogokolwiek, prawem wszystkim narodom pospolitem, jego własnością będzie, bo przedtem niczyje nie było. Według samego przyrodzenia tego jest, kto je naprzód dostanie". Tysiąc lat mija od wydania tego prawa, a mimo dziejów zmienności wywiera ono po dziś dzień przemożny wpływ na etykę myśliwską naszego ludu.

I podczas, gdy w dziedzinie prawodawstwa ciężka walka była udziałem pierwszych Piastów, by na odwieczną wolność łowiecką nałożyć krępujące więzy, cięższą o wiele walkę, trwającą niestety do dnia dzisiejszego, toczyć trzeba o nową moralność myśliwską, głuszoną echem dawnych wspomnień.

Epokową datą w naszym prawodawstwie myśliwskiem jest r. 1423, w którem Jagiełło przywraca wolność polowania każdemu na własnym gruncie, a jednocześnie wprowadza pierwsze zarządzenia dotyczące ochrony zwierzyny.

R. 1554 Lutomierski, starosta i podskarbi koronny, zabrania kłusowników z puszczy Niepołomickiej karać śmiercią, według Statutu, gdyż „nie chce król, aby wtenczas, gdy można karę za zabójstwo człowieka okupować, aby wilk lub jeleń miał większą wartość jak człowiek".

Słowa te są chlubnem świadectwem naszej kultury. Wyprzedzamy o setki lat prawodawstwo Europy Zachodniej, gdzie śmiercią i torturami karano kłusowników. Trzecie wydanie Statutu w r. 1588 znosi ostatecznie i ustawowo karę śmierci, wprowadzając za myśliwskie wykroczenia więzienie i kary pieniężne. Etyka wskazała drogę prawodawstwu. W stosunku jednak do zwierzyny etyka owych czasów na b. niskim stoi poziomie. Łowy w sieci, sidła i pułapki, na lep i na wędkę zalecane są przez pisarzy myśliwskich w myśliwstwie ptaszem. Cygański (1584) nietylko, że zachwala tego rodzaju sposoby, lecz radzi jeszcze chwytać ptactwo sidłami „na jajach", „na gnieździe". Kuropatwy chwytano na śniegu, zapędzając je w nastawione sidła.

Ale już w dziełku Cygańskiego spotykamy przebłysk moralności łowieckiej i pod tym względem. Potępia łowienie kuropatw na wiosnę. „Dostaniesz ich — pisze — na wiosnę na piszczałki na podrgubne siatki, ale ich bardzo wielka szkoda, bo nie byłby to myśliwiec, jeno nie wiem jakoby go zwać. Rzeczesz: a czemu też inszych ptaków nie szkoda? Temu, że ich nie mamy tak wielkiego pożytku, jako kuropatw".

Jeśli nie oszczędzano ptactwa na jajach, tem bardziej nie oszczędzano samic w porze lęgowej lub godowej.

„Nie folgujże, acz łani modliła się będzie,
Niechaj z tobą na sanie lub też na wóz wsiędzie"

pisze Bielawski w „Myśliwcu" 1595.

Jako etyczny odruch XVI wieku podkreślić wreszcie wypada protest przeciw okrucieństwu łowów sokolich, które piętnował Opaliński, ochmistrz Zygmunta Augusta.

Jeżeli Cygański rozróżniał już myślistwo „nikczemne lecz pożyteczne“ od myślistwa szlachetnego, Jan hr. Ostroróg w „Myślistwie z ogary“ (1617) robi pod tym względem jeszcze krok naprzód, pisząc: „Szlachcicowi polskiemu myślistwa zażywać wszędzie, gdzie chce, wolno; uczciwego jednak i szlachetnego — nie zyskownego; ze psy i ptaki — nie z sieciami i sidłami“.

Choć pół wieku nawet nie dzieli pojawienia się dziełka Ostroroga od wydania dziełka Cygańskiego, widzimy, jak wielką jest różnica etycznych poglądów obu autorów. Cygański całą duszą tkwi jeszcze w dawnej epoce, Ostroróg rozpoczyna nową potępieniem sieci i sideł, ulubionego sprzętu łowieckiego przeszłości. I rozpoczyna rzeczą jeszcze o wiele ważniejszą: walką o ochronę zwierzyny.

A choć na początku XVII wieku odzywały się jeszcze echa przeszłości, głoszące: „Ptaka powietrznego, zwierza nieogrodzonego, jako bedłek na boru ubogim bronić. Gdyż to jest obora Boża“ („Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze y myśliwcze“), rozpoczęto jednocześnie tu i owdzie racjonalną gospodarkę łowiecką przedewszystkiem przez zakładanie zwierzyńców, a powtóre przez surową ochronę ginących okazów fauny.

Za etyką idzie prawodawstwo.

Nie będę tu przytaczał szczegółów, chodzi mi jedynie o zarys ogólny, o ideje przewodnie rozwoju naszej łowieckiej etyki.

Ideą wieków następnych była ochrona ginącego zwierza, obejmująca coraz to większą ilość gatunków zwierzęcych; oraz uszlachetnianie sposobów zdobywania zwierzyny i myśliwskiego sprzętu.

Stosunek współczesnej etyki myśliwskiej do prawa określa świetnie Wł. Janta-Połczyński w jednym z rozdziałów „Estetyki łowiectwa“: „Prawo jest pomocnem do uprawiania prawidłowego myślistwa, jednak pozostawia główne reguły wykonania dobrej woli i dobrym obyczajom jednostek. Jeżeli więc myśliwy strzela w stado brózdą wyciekających kur, jeżeli czyni to do zająca w kotlinie, jestto objaw nieetyczny. Ale prawo tego zabronić nie może“.

Myśliwy posiada obowiązki etyczne wobec zwierzostanu, wobec każdej poszczególnej sztuki zwierzyny łownej, wobec psa myśliwskiego i kolegów myśliwych. Zabijać trzeba z szybkością gromu, bez zadawania męczarni.

„Zdrożnym jest więc zwyczaj strzelania na odległość, która efektu tego dać nie może“. Zdrożnem jest chwytanie najgorszych nawet drapieżników w pułapki, które kaleczą, a nie zabijają. „Nawet wobec najgorszych drapieżników metody takiej pochwalić nie można“. Dalej zaś pisze Połczyński: „Niema stworzenia, które byłoby bezwzględnie zbyteczne“.

Słowa te są dewizą współczesnego rozwoju etyki. Poskromiwszy okrucieństwo w stosunku do tresowanego psa myśliwskiego i zwierzyny łownej, etyka myśliwska zwalczać poczęła okrucieństwo w stosunku do zwierzyny drapieżnej. Jednocześnie zaś rozszerzając ochronę na coraz to nowe gatunki łownej zwierzyny, doszła do epokowej myśli, iż ochroną objąć należy całą przyrodę, gdyż niema zwierząt pożytecznych i szkodliwych, o których mówi nam zacofane prawodawstwo, a jest jedynie mądra nieskończenie harmonja powszechna, której nikomu świętokradzko mącić nie wolno.

Bowiem, jak jeden z autorów myśliwskich pisał w „Łowiectwie Polskiem“ 1921 r.: „Niema ptaka ani zwierzęcia, któreby było pod każdym względem pożyteczne lub też szkodliwe“. Zwierzęta łowne „niemal w równym stopniu“ przynoszą pożytek i wyrządzają szkody. Podobnym duchem przeniknięte jest studjum inż. Wiesława Krawczyńskiego, w którym czytamy: „Nauka dzieli zwierzęta łowne na zwierzynę użyteczną i szkodliwą“. Lecz „użyteczność, jaką wyzyskać możemy z tej t. zw. szkodliwej zwierzyny przewyższa wartością faktyczne szkody“. Wniosek: zwierzęta szkodliwe są użyteczne. Dowodzi to nielogiczności istniejących ustaw i stwierdza konieczność jaknajszybszej ich rewizji w duchu nowoczesnych postulatów etycznych.

Ciekawym przyczynkiem do współczesnych prądów etycznych są dwa artykuły dr. W. Burzyńskiego w „Łowiectwie Polskiem“ (1922 i 1923 r.). Burzyński domaga się, by czas godów i lęgu zwierzyny objęty został prawną ochroną. Powinniśmy się wyrzec strzelania jeleni na rykowisku, głuszców i cietrzewi na toku, słonek na ciągu „i sprostować w sobie długą praktyką spaczoną etykę myśliwską, a wtedy będziemy się na dawne takie polowania w ten sposób zapatrywać, jak dziś patrzymy na łapanie zwierzyny w sieci lub ptactwa na lep“.

Istotę współczesnego wyższego myślistwa (a jest ono wyższem nie ze względu na rodzaj zwierzyny łownej, lecz ze względu na nasz stosunek etyczny do myślistwa) określa najpiękniej Włodzimierz Korsak następującemi słowy:

„Treścią wyższego myślistwa nie jest zdobycie łupu, ale wniknięcie w głąb przyrody. Pięknym w myślistwie nie jest sam fakt morderstwa, lecz zwycięstwo myśli ludzkiej nad instynktami i chytrością zwierza“.

By zasłużyć na miano prawdziwego myśliwego „nietylko trzeba bronią biegle władać, ale należy rozumieć ducha puszczy. Trzeba kochać przyrodę i wszelkie jej twory, władać niemi, a jednocześnie dbać o nie, brać to co nam przydatne dla duszy i ciała, ale nie wprowadzać niepotrzebnego zamętu i unikać zbędnej krzywdy. Prawa puszczy są nieubłagane, a śmierć nie jest straszną w przyrodzie“.

Połczyński zaś mówi: „Myśliwym może być tylko ten człowiek, co ma duszę myśliwską i ogromne w sercu ukochanie przyrody“.

Ukochanie przyrody jest tem słońcem promiennem, radosnem i uśmiechniętem, które rozjaśnia całą etykę łowiecką dnia dzisiejszego. Śledząc jej bieg dziejowy widzimy całą przepaść, jaka nas dzieli od czasów minionych. Myślistwo i Ochrona przyrody dwa wrogi śmiertelne z dawnych czasów—podają dziś sobie zgodne dłonie, jako dwaj sojusznicy i przyjaciele.

Juljan Ejemond.

JAK Z WŁADKA WYRÓSŁ MYŚLIWY.

(Wspomnienie dzieciństwa)

(*Ciąg dalszy*)

II. Flobert.

Z niecierpliwością oczekiwano powrotu Andrzeja z kolei. A raczej nie tyle Andrzeja, ile wuja, którego Andrzej miał przywieźć. Dzieci błąkały się po dworze, zaglądając ciągle w okna: jedzie już czy nie jedzie? Wuj mieszkał w Kijowie i do ówczesnej Galicji zjeżdżał raz na parę lat, dzieci go więc jakby nie znały, pamiętały tylko, że jest bardzo duży, ma wielką brodę i miłe przyzwyczajenie, przywożenia prezentów.

Staszka i Franek dwoje młodszego rodzeństwa stoczyło już małą kampanię o to, czy wujcio przywiezie cukierki warszawskie czy nie. Władek już gimnazista nie od parady, bo uczeń drugiej klasy, nie mieszał się w kłótnie dziecinne. Siedział pod lipą, trzymając na kolanach „Zawsze Oni“ Rodzantowicza, ale udawał tylko dla dodania sobie powagi, że czyta. W rzeczywistości myśli jego kręciły się także około wuja. Czy przywiezie i co? To był temat, do którego wracały ciągle myśli chłopca uparcie, nie śmiejąc się skrystalizować w życzenie: żeby też strzelbę!

Z wujem korespondował Władek często i z dosyć egoistycznych względów. Przyjazd był już od roku zapowiedziany, więc może wujcio wpadnie na szczęśliwą myśl, że Władek już wyrósł z tych lat, kiedy mu do szczęścia potrzeba było ułańskiego czaka lub kolejki na szynach. W listach pracowicie zestawionych, co niedzieli, a czasem i poprawianych przez księdza prefekta, donosił Władek wujowi ustawicznie jak spędził wakacje, wyliczając bezustannie swoje trofea myśliwskie składające się z kilku wróbli, paru kawek i srok. W ten sposób chciał wuja przygotowywać na to, że właściwie należy mu się prawdziwa, a własna strzelba.

O kilku szczegółach małej wagi przemilczał dyplomatycznie jak n. p., że Tyrolka nie była pożyczoną tylko daną przez ojca jak i o tem, że została skonfiskowaną za podpalenie szopy w czasie polowania na wrony. Ale wuj zdaje się nie jest myśliwym, więc go takie drobiazgi pewnie nie obchodzą.

Nie wspominał także w swych listach o tem, że ojciec strzelbę odebrał i uroczyście obiecał nie dać mu jej nigdy do ręki „bo jeszcze nas wszystkich kiedy z dymem puści ten smarkacz“! Dobrze tatusiowi mówić, jak ma lankastrówkę i chodzi na prawdziwe polowania ale wronę najłatwiej jest podejść jak siedzi na strzesze, a co człowiek temu winien, że wiatr pakuły rzucił na dach; i było o co robić historję! Szopa stara, jak świat, ledwie się trzymała. A spaliła się jak zapałka, nawet nie było czasu paru pługów z niej wyciągnąć.

Zadumę Władka przerwał turkot zajeżdżającego przed dwór powozu. Z ogromną uciechą, ale i sercem bijącem gwałtownie, skoczył Władek do wuja, witającego się już z rodzicami. Dowiedziawszy się, że Władek jest celującym uczniem, wręczył mu wuj futerał ze strzelbą.

Kolana zatrzęsły się pod uszczęśliwionym chłopcem, wymamrotał parę słów podziękowania, cmoknął wuja w rękę i nie zważając na markotny wzrok ojca, zabrał się czemprędzej do wypakowywania futerału

Tyle mi naopisywał o swoich myśliwskich przygodach, że kupiłem mu to głupstwo—tłumaczył się wujaszek, widząc trochę niezadowoloną minę ojca.

— Wdzięczny ci jestem, żeś o smyku pamiętał. ale widzisz z tem strzelaniem to skaranie boże! Upilnować go nie można — zeszłego roku szopę mi spalił!

— Ale to tylko flobert! — przerwał wuj — najniewinniejsza zabawka pod słońcem, a przytem doskonałe ćwiczenie dla chłopca, który, czy chcesz, czy nie chcesz, będzie myśliwym. Żyłki w nim nie zabijesz—zresztą i tak ją odziedziczył.

Władek tymczasem siedział na ławce werandy, trzymając na kolanach flobert. Rozczarowanie jego i gorycz nie miały granic. Zakpił sobie wuj z niego — zabawkę mu przywiózł jakby dla Franka. Z jednej strony na płacz mu się zbierało, z drugiej godność nie pozwalała mu beczeć. Tembardziej, że obok uszczęśliwiony

Franek wymachiwał pałaszem a Staszka obnosiła się z lalką, prawie od niej większą.

— Także strzelba! Kominka niema, lufa taka maleńka, że ledwie jeden śrut się zmieści — Władek doprawdy blizki był płaczu.

— Nad czem tak medytujesz? Zapytał wuj— to doskonały flobert, tylko trzeba umieć strzelać i często go trzymać, bo inaczej przestanie być celnym.

— A można z niego co zabić?

— Chodź, zaraz się przekonamy — mówił wuj — widzę, że mi bardzo jesteś z niego zadowolony, ale sądzę, że zmienisz zdanie. — Ciągnął więc z Władkiem do ogrodu upatrując zwierzyny.

— Ot tam na płocie, wróble...

— Dobrze — złożył się i za chwilę Władek z podziwem oglądał na przemiany to zabitego wróbla, to nową broń.

Objaśniwszy dokładnie, jak się nabija strzelba i czyści broń, wuj poszedł do domu, a Władek zupełnie przekonany strzelił parę razy do celu, poczem pobiegł do Franka, żeby się z nim swojem szczęściem podzielić.

Franek patrzył na starszego o sześć lat brata jak żyd na rabina i bodaj przenosił jego autorytet nad powagę ojca. Władek zniżał się łaskawie do poziomu „bębna“, dla którego największą przyjemnością było bawić się ze starszym bratem.

Teraz zaczęły się polowania na wielką skalę: wróble znikły zupełnie z podwórza, wrony i sroki omijały zdaleka dom i ogród, jakby wiedząc, że jeżeli Władek ich nie dostrzeże, to wyśledzi je Franek, pełniący pracowicie rolę, naganiacza i wskaże ich kryjówkę bratu. Z czasem myśliwi przenieśli się na sadzawki, które roiły się od ptactwa. Kaczki wprawdzie nie dawały się łapać na rozmaite fortele myśliwskiej spółki, ale za to łyski i kurki często padały ofiarą śmiercionośnej broni.

Władek nosił się teraz dumnie i uważał za prawdziwego myśliwego. Chodził jako Nemrod przed Panem. Ale słusznie powiada Pismo: Że kto się wywyższa, poniżon będzie!

W pewną niedzielę spotkał się Władek w kościele z Józiem, kolegą z Chyrowa, którego rodzice sąsiadowali o miedzę z rodzicami Władka. Naturalnie cały czas opowiadał o swoich przewagach myśliwskich i wynosił pod niebiosy zalety swojego flobertu, czem tak rozpalił ciekawość Józia, że ten póty nie przestał prosić, póki rodzice Władka nie pozwolili mu na parę dni pojechać do kolegi w odwiedziny.

Wybrał się zaraz po obiedzie, naturalnie z flobertem. Przyjechawszy pobiegł z Józiem do ogrodu, żeby mu pokazać celność swych strzałów. Zabił parę wróbli i łaskawie pozwolił Józiowi strzelić parę razy. Józio, który dotąd tylko z wiatrówki strzelał, nie mógł nic trafić, więc obaj przyjaciele postanowili strzelać do celu. Wymalowali kółko atramentem, na starym zeszycie i zaczęli się oglądać gdzieby go też umieścić.

Obok dworu, za czeladnią kuchnią prowadziła mała aleja głogowa do maleńkiego domku, z pewnych względów zupełnie słusznie miejscem westchnień zwanego... Naszym strzelcom miejsce to wydało się zupełnie odpowiedniem więc przekonawszy się, że chwilowo domek jest bez lokatora, przyczepili na drzwiach zeszyt i zaczęli pukaninę, sprzeczając się o kolejne następstwo strzałów. Po paru minutach jednak zabrakło im ładunków; pobiegli więc do dworu żeby uzupełnić swoje zapasy amunicji. Wróciwszy, zabrali się znowu do strzelania. Kolej przypadała na Józia. Wycelował i strzelił, ale w tejże chwili wypuścił z przestrachu broń na ziemię, gdyż z wnętrza domu rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Zabili mie zbereżniki! zabili...

Chłopcy struchleli i nie mogąc się ruszyć z miejsca stali jak skamieniali słuchając jęków.

Stara kucharka, która wszedłszy w czasie ich nieobecności do domku, oddawała się słodkim marzeniom wyrwana z nich została brutalnie strzałem z flobertu. Kulka przebiwszy cienkie drzwi, wybiła staruszce jeden z ostatnich, a więc tem drogocenniejszych zębów, nie robiąc jej pozatem żadnej szkody.

Strach do tego stopnia owładnął winowajcami, że zapomnieli o ucieczce, bladzi z obawy stali, nie mogąc słowa przemówić nawet wtedy, gdy baba porzuciwszy swoją fortecę, zbliżała się do nich wydając groźne, wojenne okrzyki. Z drugiej strony przecinano już odwrót. Pan Wojciech, ojciec Józia, zwabiony lamentem kucharki, śpieszył właśnie na pole mordu.

Epilog całej sprawy był smutny: Józio dostał sromotnie w skórę a Władka odesłano natychmiast do domu, z flobertem wprawdzie, ale i z listem, który furman wiózł do jego ojca.

Pocóż się rozwodzić długo nad losem niewinnie prześladowanego Władka?—Odebrano mu flobert i zamknięto do szafy. W skórę nie dostał dzięki Frankowi, który, dowiedziawszy się o zamierzonej egzekucji brata, podniósł wrzask nie ustępujący w niczem wojennemu okrzykowi jakiegoś indyjskiego plemienia. Karząca ręka sprawiedliwości obróciła się w tej chwili w jego stronę, a przez ten czas Władek podle opuścił kancelarję i uciekł do ogrodu, skąd go dopiero głód na kolację wywabił. Na kolacji byli goście, a potem jakoś ojciec zapomiał o nieszczęsnym zębie i burza minęła szczęśliwie.

Pułk. *Wł. Ścibor-Rylski.*

NIEDŹWIEDŹ.

Niedźwiedź. Nie znam zwierza, prócz wielkich kotów, mogącego więcej interesować myśliwego, jak niedźwiedź, ten bohater tylu legendowych baśni u wielu narodów. Olbrzymia budowa tego zwierza, masywność jego kosmatego cielska, uszasty łeb szeroki o ponurem spojrzeniu małych ciemnych ślepiów, ogromne muskularne łapy w nadmiernie długie uzbrojone pazury czynią widok jego groźnym, i wzbudzają w ludziach przestrach. Strach ten może nawet i nie jest zupełnie uzasadniony, gdyż zwierz ten nie jest znów tak krwiożerczym, strasznym i dla człowieka niebezpiecznym, jakby sądzić można po jego olbrzymiej sile, którą często zużywa tak śmiesznie na błache zajęcie i zupełnie nieszkodliwie. Prócz paru odmian, żyjących wyłącznie mięsem, wszystkie inne chętnie spożywają różnorodny pokarm. roślinny, są wielkimi amatorami ziemiopłodów, owoców, słodkich jagód, a przedewszystkiem miodu, w poszukiwaniu którego są prawdziwymi mistrzami w łażeniu po drzewach. co zresztą wskazuje nam dostatecznie ustrój i pyska, tak różniący się od ustroju innych drapieżników. Kto z nas myśliwych nie widział tego króla naszych borów na swobodzie, wśród jego rodzimego otoczenia w kniei „gdzie gąszcz taka, że ją wiatr nigdy nie przewieje, ani słońce przewierci, ni przemoczą słoty, gdzie gałęzie gęstemi związały się sploty", lub na śnieżnej bieli, gdy jego masywne, ciemne cielsko jeszcze czarniejszem i wspanialszem się wydaje? Mimo pozornej ociężałości chód jego tak lekki i cichy, że ani dosłyszysz, gdy przed tobą się zjawi, a ślady jego stopy do ludzkich tak podobne, że tylko wprawne oko rozróżnić je potrafi. Niedźwiedź nie posiada właściwej kotom zdolności kurczenia i wciągania pazurów, które ani są tak zagięte, ani tak ostre, jak u tamtych i dlatego mniej straszne dla zwierząt. gęstą pokrytych szerścią, jednakże w ludzkiem ciele robią straszne rany, podobne do ran tępą broną zadanych. Wielu badaczy jest mniemania, że niedźwiedź pochodzić musi od jakiegoś przedpotopowego psa wielkiego, który przeszedł wiekowe przemiany pierwotnego swego wyglądu. Ze znanych nam ośmiu odmian. zresztą mało od siebie się różniących tak pod względem form zewnętrznych, jak niemniej z trybu życia i przyzwyczajeń, zamieszkujących obszerne rejony północnej polanki starego i nowego świata, niedźwiedź polarny, czyli biały. jest największym przedstawicielem tego rodu, a zarazem najwięcej krwiożerczym i najniebezpieczniejszym dla człowieka i zasługującym na większe nim się zainteresowanie. Mieszkaniec polarnych stron, i wiecznej nocy, jest niemal jedynem zwierzęciem, mogącem i chcącem żyć w krainie wiecznego mroku, lodów i mrozu. Strefy zamieszkania jego określić jest niepodobna, gdyż spotykano go na lodowcach bujającego pod 84 stp. szer. pół., jak niemniej na pełnem morzu o 80 mil od lądu Szpicbergu samotnie pływającego, gdzie na całym horyzoncie ani jednej bryłki lodu nie było widocznem. Lekkość i zręczność w pływaniu, zdolność długiego nurkowania, zwinność chwytania morskich zwierząt, wygrzewających się na lądzie, jest istotnie podziwienia godną. Ulubioną zabawą tego kolosa jest kąpiel, gdy kładąc się na wznak ze skrzyżowanemi łapami w kłębach zwinięty, buja całe godziny po zimnych falach jak lekka biała beczka. Niema przy swej sile bojaźni i jest groźnym przeciwnikiem człowieka, którego zapewne uważa za jakieś morskie stworzenie. Wyrządza dotkliwe szkody ekspedycjom podbiegunowym, porywa nieostrożnych marynarzy, niszczy umiejętnie ich składy z żywnością — niepokoi załogi statków. Gdy tylko statek. zatarty lodami, stanie nieruchomie, potwory te zjawiają się nagle, krążą wokoło i czatują na zdobycz, nie okazując najmniejszego strachu. Ekspedycja Dżaksona Jarmsworta na ziemi Franciszka Józefa cierpiała bardzo od tych rabusiów, od których wielu marynarzy i psów zginęło. Bito ich też tak wiele, iż cała załoga i zgraja psów długi czas żywiły się ich mięsem. Na lądzie jest niemniej zwinnym, jak w wodzie; chód jego, zawdzięczając mocno zarosłym długim włosem pazurom, cichy i ostrożny ułatwia mu polowanie na morskie potworki, szczególnie tiulenie, ulubione jego pożywienie.

Znawca stron polarnych, podróżnik Nordenskiöld, wspominając o białym niedźwiedziu, tak go określa: „W polowaniu swem na człowieka, którego uważa również za morskie zwierzę, jak fokę lub morsa, jest bardzo przemyślnym i ostrożnym. Stara się zaskoczyć go z tyłu, niespodziewanie, dla czego okrąża go zygzakami zdaleka, chowając się za bryły lodowe, przepełza przez więcej odkryte miejsca--dla orjentacji spina się na łapy, lub na wysokie wdrapuje się wzniosłości, przy czem starannie stara się łapami zakrywać swój duży nos czarny, zdradzający jedynie jego białość. Złapanej ofiary nie dusi, a łapą miażdży jej głowę wpierw, zanim drzeć i rwać ją zacznie. Niekiedy lubi się bawić z pojmaną foką — wynosi się na dużą płaszczyznę i jak kot z myszą figluje. Wzruszającą jest pieczołowitość i miłość macierzyńska tych zwierząt dla swych dziatek białych."

Do fregaty „Kaokol", w lodach Baffińskiej cieśniny zatartej, często podchodziła niedźwiedzica z dwojgiem małych swych dzieci, pojadając resztki strzelanych przez załogę statku morskich potworków. Pewnego razu zastawszy piekące się na ogniu kawały mięsa. wyrwała je 9 ognia i poniosła swym malcom, ukrytym za statkiem, a gdy powtórnie przyniosła im drugi kęs, zastała ich martwymi. Widząc. że nie rzucają się na przyniesiony im kawał morsa, popatrzyła zdziwiona,

obwąchała ich i łapami przewracać i trząść ich poczęła, poczem z żałosnym rykiem zwróciła swą mordę w stronę fregaty, skąd padł strzał, ukajający jej macierzyńską boleść. Futro tych zwierząt jest przedmiotem rozkoszy, pożądaną ozdobą buduarów zamożnych ludzi. Zwykła wielkość od nosa do osady ogona wynosi 2,90 mtr.—nierzadko zdarzają się egzemplarze dochodzące do kolosalnej wielkości $3^1/_2$—4 metr. Piękna Baśka, przywieziona przez naszą Murmańską Brygadę w roku 1920 do Warszawy, była przedstawicielk ą tego rodu i pochodziła z głębokiej Północy.

Drugim przedstawicielem tego niedźwiedzkiego rodu jest niedźwiedź brunatny, tak swą wielkością i siłą, jak i drapieżnością nie ustępujący białemu, a inteligencją i przebiegłością nawet go przewyższający. Piękne, puszyste jego ciemne futro jest cennym artykułem w handlu, Anglja w wielkiej ilości używa go na bermyce grenadjerów. Wielkość tego zwierza dochodzi, a nawet przekracza miarę 2,80 mtr., przy wadze 700—800 funtowej.

Wł. Czerniejewski.

(C. d. n.)

O wyżle i jego układaniu.

(Dalszy ciąg).

W trzecim miesiącu można już przystąpić do początków aportowania. Gwiżdżę na pieska; ten przybiega i z radością się do mnie łasi. Głaszczę go parę chwil, poczem biorę starą rękawiczkę i jakiś czas ciągnę przed nim po ziemi w różne strony. Piesek stara się ją chwytać, wtedy rzucam parę kroków. Piesek ją chwyta; wtedy gwiżdżę i najczęściej psiak przynosi, jeśli by zaś chciał uciekać z łupem, to go lekko chwytam, głaszczę, leciutko odbieram mu rękawiczkę, potem w tej chwili daję mu kawałek chleba z masłem lub sera. Takie próby robię często, jak mam ku temu czas i ochotę. Czasem parę razy dziennie, a czasem co parę dni, uważając zawsze, aby psiaka nie przestraszyć głosem, nagłym ruchem i żeby zawsze dać mu co dobrego do zjedzenia. Dużo razy pod rząd nie można powtarzać, żeby go nie znudzić, również nie w duży upał i nie zaraz po nakarmieniu, gdyż wtedy staje się apatyczny, nie chce podnosić, a profesor łatwo może wpaść w niepotrzebny gniew, co by zepsuło całą naukę.

Gdy już nieźle przynosi, wołajmy za każdym rzuceniem „daj“ lub „apporte“, co kto woli, a odbierając, naciskajmy mu grzbiet lewą ręką, tak, żeby oddawał w postawie siedzącej. Po kilkunastu próbach sam siada. Im starszy, rzucam dalej i zmieniam przedmioty; chustka, rękawiczki, bat rzemienny, skrzydło, nóżka zajęcza, potem kromkę chleba, im większa rozmaitość, tem lepiej. Najtrudniej idzie z metalowemi przedmiotami, ale i do nich się przyzwyczai. Z czasem zaczynam mu chować przedmioty, ale tutaj kieruję się doświadczeniem, które często nie bywa brane pod uwagę; mianowicie do chowania można używać jedynie przedmiotów, które mają pewien odwiatr. Z najpospolitszych używana rękawiczka, lub chustka do nosa, oczywiście nie prosto z prania, lecz z kieszeni. Jest to niezbędne w tym celu, aby pieska od młodości uczyć szukać nie okiem, a nosem, co później okazuje się bardzo ważnem przy odszukaniu zabitej zwierzyny. W tym celu pocieram parę razy podłogę, aby łatwiej było psu zawietrzyć i kładę blisko tego miejsca w jaki kąt, z początku w miejsca łatwe, z czasem coraz trudniejsze. Następnie wołam psa do pokoju, robię ruch ręką, jakbym co rzucił i mówię „daj“. Piesek, który to rozumie, zaczyna się kręcić, naprowadzam go lekko skinieniem ręki we właściwą stronę, powtarzając często nowe dla niego słowo „szukaj“. Wreszcie pies zawietrzy, weźmie w pysk — więc go przywołuję do siebie, głaszczę, odbieram i daję co dobrego do zjedzenia. Psy mają zamiłowanie wrodzone do szukania i pojąwszy o co chodzi, z widocznem zajęciem to robią i przyjemnością.

Zupełnie nieznacznie dla psa, uczę go tym sposobem szukać, aportować, siadać, wreszcie, nie odbierając mu odrazu z pyska, a głaszcząc i nie pozwalając upuścić, przyzwyczajam do dłuższego trzymania w pysku zwierzyny przed panem.

Bywają czasem wypadki (w początkach — gdyż potem to nie wchodzi w zwyczaj), że pies nie chce przynieść, choć to zwykle jest więcej winą układającego. Albo pies jest znużony, lub bardzo najedzony, lub też upał, albo obecność ludzi lub psów mu przeszkadza. Jeśli by się to stale zaczęło powtarzać, to trzeba użyć kolczastej obroży (korale). Jest to podwójna obróżka z nawbijanemi kolcami. Z tem jednak trzeba bardzo ostrożnie postępować, gdyż bądź co bądź jest to tortura i tylko w ostateczności można się na nią decydować. Wtedy rzuca mu się przedmiot do aportowania, a gdy pies odmawia, zakłada się obrożę, przyciąga się na lince do przedmiotu, wsadza w pysk i, wołając, przyciąga się go do, siebie z powrotem. Po kilku takich próbach, pies wiedząc z poprzednich lekcyj o co chodzi i rozumiejąc dobrze, że to kara, łatwo się orjentuje, ż

poddać się musi. Przy aportowaniu broń Boże nie bić, ani kopać, gdyż wszystko się popsuje; nawet głosu lepiej nie podnosić po nad ton zwykły i choć nieraz człowiek się rozzłości — nie dać elewowi tego poznać.

Co do korali dodam jeszcze, że dotąd w całej praktyce raz jeden takowe użyłem, zrobiwszy je sobie na poczekaniu i ze wstydem przyznać się muszę, że wywołane to zostało mojem zdenerwowaniem, które udzieliło się pieskowi i zupełnie zepsuło dobrze idącą naukę. Dopiero koralami wprowadziłem lekcje na tory normalne, przedłużyłem je jednak tym sposobem niezmiernie.

Drugim ważnym przedmiotem nauki jest warowanie. Lepiej do niego brać się już po nauczeniu aportowania, gdyż trzeba się tu nieraz ostro postawić, więc pies przy lekcjach jest wystraszony.

Kładę psa na brzuszku, tak, żeby łeb miał prawidłowo ułożony między przedniemi nogami i trzymam go lekko, nie pozwalając mu wstać, powtarzając dobitnie „waruj". Gdy chce się zerwać, klepię go ręką po grzbiecie. Gdy po paru próbach nauczy się o tyle, że leży, choć odejdę parę kroków — odchodzę i powtarzając „waruj", podnoszę rękę w górę. Stopniowo przyzwyczajam go do kładzenia się na rozkaz i stosuję to z coraz dalszej odległości (zawsze przy podniesionej w górę ręce), do czego tak się przyzwyczaja, że mu wreszcie samo podniesienie ręki wystarcza. To jest bardzo potrzebne, aby móc zawsze w polu na odległość psa bez krzyku zatrzymać. Równocześnie uczę go coraz dłużej warować; dla tego celu komenderuję „waruj", a gdy pies usłucha, siadam sobie gdzieś niedaleko, czasem nawet czytam książkę, jeśli mi się nudzi, ale zwracam trochę uwagi, czy pies się nie podnosi. W razie ucieczki — bez krzyku i gonitwy zwołuję go do siebie, zaprowadzam w to samo miejsce (to konieczne), uderzam go ze 2 razy silnie prętem i, pogłaskawszy, żeby nie uciekł ze strachu, znów go zostawiam. Tu trzeba od początku okazać dużo stanowczości. Nigdy się nie unieść, ale też i na żadne ustępstwa nie pozwolić. Następnie trzeba przyzwyczaić, aby warował pomimo odejścia pana. Idę w pole, każę mu warować i idę dalej. Pies przywaruje na chwilę, a widząc mię oddalającego się, podnosi się i postępuje za mną. Wracam spokojnie do niego, przyciągam go za kark w to samo miejsce, uderzam prętem „a waruj", i odchodzę. Czasem jedna taka operacja wystarczy, czasem i parę razy trzeba powtórzyć, przyczem uważać trzeba, żeby pies nie uciekł po niej; dlatego puszczając, należy go pogłaskać, jeśli by zaś się wyrwał i uciekł, trzeba się poświęcić, przyprowadzić w to samo miejsce, znów obić i zmusić do posłuszeństwa.

Gdy się już dobrze poduczy, łączę warowanie z aportowaniem i szukaniem. Naprz. chowam rękawiczkę. Pies szuka. Gdy zawietrzy i znajdzie „waruj" (w celu zatrzymywania się przed zwierzyną); potem „daj". Pies niesie. Podnoszę rękę w górę. Pies waruje i t. d.

Bardzo pożyteczną nauką dla przyszłości wyżła jest rozwijanie jego węchu i inteligencji, zmuszając go do odszukiwania po tropie z początku swego chlebodawcy, potem zaś i innych osób. Młodego pieska (od 4 miesięcy) bierzemy z sobą w pole. Uszedłszy daleko od domu, polecam komu trzymać pieska, sam zaś odchodzę kilkadziesiąt kroków, zbaczam z obranego kierunku i chowam się za krzak lub snopki. Piesek, który widzi moje oddalenie się, piszczy i wyrywa się gwałtownie, wreszcie puszczony, zaczyna szukać, wpada na trop i po niem dochodzi. Co to wtedy uciechy, pisku, głaskania. Stopniowo oddalam się coraz dalej, później krążę między krzakami, przeskakuję rowy i t. p., a piesek puszczony tak się wprawia, że z całą łatwością opanowuje nawet duże odległości; uważać tylko trzeba, aby na początku piesek widział kierunek odejścia, lecz potem trzeba mu zejść z oczu bezwarunkowo, lub oczy zakryć, aby nie próbował odnajdywać bez pomocy węchu.

Te studja w przyszłości oddają dwojaką korzyść. Po pierwsze: pies taki nie zginie, bo po śladzie trafi czy do pana, czy też do domu, a rozwijając węch i rozum, uczy się od młodu polegać na najcenniejszym organie wyżlim — nosie, nie probując nawet odszukiwać zapomocą wzroku.

Dobrze jest również wpoić w psa nieufność względem obcych ludzi. Pamiętać tylko od czasu do czasu o tem, aby go kto obcy przywołał (na rozkaz) i przywoławszy, uderzył prętem lub batem; piesek ucieka z wrzaskiem do pana, został ugłaskany i pocieszony, a po paru takich przejściach każdego obcego obchodzi z daleka, a doszedłszy do rozwoju fizycznego — jako odpowiedź na przywoływanie go do siebie—wyszczerza zęby. Gdyby wszystkie psy miały to wpojone—nie czytalibyśmy tylu ogłoszeń o kradzieży wyżłów.

(D. c. n.) *H. Rudzki.*

Wyjaśnienie.

Kółko Myśliwskie „Djana" w Wołkowysku nadsyła nam następujące wyjaśnienie:

W N-rze 14 „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" zamieścił p. Jerzy Dylewski wzmiankę o polowaniu na dziki w pow. Wołkowyskim. Jako Zarząh Kółka Myśliwskiego „Djana" w Wołkowysku chcielibyśmy wyjaśnić wszystkie niepewności p. Dylewskiego: 1) Las „Zamkowy" leży od Puszczy Białowieskiej o 45 klm., 2) Polowano na dziki z powodu skarg miejscowej ludności zanoszonych oficjalnie, 3) Pan Wojewoda i Pan Starosta obecni na polowaniu nie byli.

W sprawie Konkursu.

W składzie jury Konkursu nie bierze udziału p. Włodzimierz Korsak (członek Komitetu Redakcyjnego i p. dr. Zaborowski.

Członkowie jury oczywiście nie przyjmują udziału w konkursie.

SPRAWY BIEŻĄCE.

Prawo polowania puszczane w kraju na pasek.

„Wolne Słowo" pisze:

Zwracamy województwom uwagę na samowolę referentów przy poszczególnych starostwach, którzy przedłożone ze stron gmin kontrakty dzierżawne rozpatrują i załatwiają nie według litery prawa, ale według swojego „widzimisię" i znajomości koleżeńskich — przeciągają zatwierdzenie prawnych kontraktów do nieskończoności i wobec spadku naszej marki, narażają gminy na wielkie straty pieniężne i stratę czasu, kosztów i zachodu. Często się zdarza, że referenci podstawiają znajomych i z nimi do spółki sami poddzierżawiają już raz prawnie nabyte dzierżawy, czyniąc dzierżawcom różne wstręty i trudności przez wyszukiwanie przeróżnych kruczków.

Zwracamy również uwagę pp. starostom na niesłychane, paskarskie ceny, dyktowane przez gminy, za dzierżawę polowania. Dochodzą one do zawrotnych sum miljonowych. To się nie przyczyni chyba do racjonalnej hodowli i ochrony zwierzyny, tem więcej, że dzisiaj chwytają za strzelby rzeźnicy, krawcy, szewcy i t. p. „rycerze" paskarskiego kunsztu. Także niemałą plagą dla zwierzyny są włościańskie „skowyry", włóczące się po polach i szukające w zajęczych bebechach poprawy wiktu. Całe falangi kłusowników, o których się żaden po angielsku uniformowany policjant nie troszczy, są wyrazem tych smutnych objawów przeklętej samowoli w kraju, którą rząd stanowczo wytępić powinien.

Zakaz polowania na ptactwo wodne w obrębie m. Warszawy.

Komendant policji podaje do wiadomości i ścisłego przestrzegania przez wszystkich funkcjonarjuszy policji, że komisarz rządu na miasto Warszawę ze względów bezpieczeństwa publicznego zabronił polowania na ptactwo wodne w obrębie miasta. Osoby, winne niestosowania się do tego zarządzenia, będą pociągane do odpowiedzialności.

Opłata od kart łowieckich.

Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych zgłosiło do Sejmu projekt ustawy w przedmiocie opłaty od kart łowieckich. Ministerstwo projektuje wydawanie tych kart, ważnych na okres roczny lub też trzydniowy. Od kart łowieckich rocznych płacić mają według projektu rządowego obywatele polscy 100000 marek, obcokrajowcy 500000 mk., od kart trzydniowych obywatele polscy 25000 marek, obcokrajowcy 125000 mk. Karty łowieckie, wydane służbie leśnej, mają być wolne od opłat.

O zakup polskich gołębi.

Redakcja belgijskiej „Chasse et Pêche" (Gandawa, Avenue de la Libération 260) zwróciła się w tych dniach do naszej redakcji z zapytaniem, gdzieby można nabyć większą ilość gołębi polskiej rasy. Redakcja zapytuje również o adresy hodowców gołębi oraz fabrykantów gołębników. Prosimy wszelkie zgłoszenia firm kierować w tej sprawie do naszej redakcji piśmiennie, powołując się na powyższą notatkę.

Wystawa Rolniczo-Przemysłowa w Łowiczu.

Słynne jarmarki łowickie, sięgające tradycją 1584 roku, zostaną tego roku wskrzeszone Wystawą Rolniczo-Przemysłową, urządzoną staraniem całego szeregu instytucyj komunalnych, społecznych, ekonomicznych i zawodowych.

Wystawa trwać będzie od 19 — 24 września b. r. i obejmować następujące działy:

Rolnictwo, maszyny i narzędzia rolnicze, nasiennictwo, meljoracje rolne, okazy ziemiopłodów, hodowlę, ogrodnictwo, pszczelnictwo, przemysł rolny, leśnictwo, łowiectwo, współdzielczość. Specjalny dział pracy społecznej obejmuje działalność naszych organizacyj samorządowych, społecznych, oświatowych i szkolnictwo powszechne.

Poza tem będzie zorganizowany osobny dział etnograficzny, przemysłu ludowego i krajowy jarmark na konie.

Wszelkich informacyj w sprawie warunków udziału w Wystawie i Jarmarku Hodowlanym, przewozu ulgowego eksponatów i przyjazdów wycieczek, noclegów i t. d. udziela Biuro Wystawy w Łowiczu.

Z przemysłu łowieckiego.

Pragniemy zwrócić uwagę czytelników naszych na świetnie rozwijającą się fabrykę instrumentów dętych St. Pełczyńskiego w Poznaniu, jedną z największych obecnie w kraju.

Fabryka ta powstała przed dwoma laty; z końcem roku ubiegłego przeniesioną została do do specjalnych, obszernych zabudowań, urządzonych według wszelkich zasad nowoczesnej techniki i wzorów zagranicznych, oraz zaopatrzona w przyrządy i maszyny najnowszej konstrukcji, które dają możność wykonywania najbardziej precyzyjnych instrumentów w zakresie dętych i sprostać najwybredniejszym wymaganiom.

Fabryka St. Pełczyńskiego celuje zwłaszcza w wykonaniu sygnałówek i trąbek myśliwskich. Ostatnio mieliśmy sposobność oglądać cztery świeże modele trąbek myśliwskich, wykonane w tej fabryce i możemy gorąco polecić je pp. myśliwym, mają one bowiem przy silnej budowie i subletnem wykonaniu nader dogodny format. Fabryka powyższa pozatem, jak nas objaśniono, chętnie stosuje się do życzeń i wskazówek swych odbiorców i gotowa każdej chwili wprowadzić do swych wyrobów żądane zmiany i proponowane ulepszenia.

Uważamy, iż ta gałąź przemysłu naszego, dzięki niezmożonej działalności firmy St. Pełczyński, rozwinęła się znakomicie i nie potrzebuje zupełnie obawiać się konkurencji niemieckiej.

ROZMAITOŚCI.

Sposoby tępienia królików.

W ostatnich czasach skarżono się ogólnie na króliki, które wyrządzają ogromne szkody w kulturach leśnych i polnych, to obgryzając młode drzewka z kory, to świdrując nory. Tam też, gdzie króliki założą swe gniazda, a zajmują one przeważnie większy obszar, ziemia jest tak zdeptana, że staje się nieużyteczną do rozrostu roślinności.

Tu i owdzie wypowiedziano im wojnę, stawiając pułapki lub strzelając je. W pierwszym razie nie osiągnięto pożądanego wyniku, a ci, którzy strzelali do królików, twierdzili, że zawsze „za szybko znika w norze!“ Prawdą jest, że strzelanie do królika nie jest bardzo łatwe, albowiem często zmienia swój kierunek w krótkim czasie. Zdumiewającą jest zdolność jego zatrzymywania się w najszybszym biegu na miejscu, i zawrócenia w przeciwnym kierunku; więc często zakpi sobie z myśliwego.

Najlepsze wyniki w tępieniu tego szkodnika dały naganki i polowania z fretkami. Ażeby króliki podczas naganki nie uciekały do nory, trzeba się urządzić w następujący sposób: Laski siarkowe będą rozrzynane na kawałki 25 centymetrowe. Następnie bierze się kij, na którego końcu znajduje się rozgałęzienie, w które się wkleszczy zapalony kawał laski siarkowej. Pręt z siarką kładzie się możliwie jak najgłębiej do nory. Na jamy, posiadające 3—4 wyloty wystawić jeden kawałek laski siarkowej. Praktycznie jest łożyć siarkę w ten sposób, żeby wiatr rozniósł czad po całej norze. Ponieważ polowania te przypadają na jesień, ziemia już jest wilgotna i wywołanie pożaru leśnego przez nieostrożne obchodzenie się z ogniem jest wykluczone. Dwa dni przed rozpoczęciem polowania trzeba wszelkie nory wykadzane zasypać ziemią. Wykadzać trzeba już 3—4 dni przed polowaniem: tych jam królik unika długi czas.

Sposób polowania z fretkami jest także bardzo zajmujący. Najlepsze są fretki pochodzące od tchórza, ponieważ znoszą o wiele lepiej wilgoć i mróz. Fretki „takurane calbino“ (umitela Juro) mniej są odporne i przeważnie giną od choroby. Znamionami tej choroby są zalepione oczy i mokry brzuch. Choroba ta powstaje przez błędne karmienie. Fretkom trzeba dawać: rano i wieczorem zupę mleczną mięszaną kartoflami lub jarzyną. Od czasu do czasu dostaje wróbla zabitego, lecz nigdy królika. Mieszkanie musi być dość obszerne i oprócz pudełka przewróconego, z wyciętą dziurą, które służy do spania, znajdować się musi także skrzynka, w której zabiera się fretkę na polowanie. Przed rozpoczęciem rozstawia się przed norami sieci, w które się królik plącze, wypadając z jamy jak bomba. Nim się wpuści fretkę, trzeba jej nałożyć kaganiec, ażeby nie udusiła królika pod ziemią. Wychodzącą z nory fretkę nie trzeba przestraszyć przez śpieszne łapanie rękoma, lecz przyzwyczajać do tego, żeby sama wchodziła w skrzynkę postawianą przed norą. Zamiast fretek używać można także specjalne jamniki małego wzrostu.

Nigdy nie mogłem pogodzić się z tępieniem królików przez uduszenie w norach lub zatrucie. Prawda, że w niejednych wypadkach wolno używać wszelkich środków, aby przeszkodzić królikom wyrzadzaniu szkód, jednakże zapobiedz zbytniemu pomnożeniu się królików można przez naganki z poprzedniem wykadzaniem nor lub przez polowanie z fretkami.

Leon Osowski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu W. Kozłowskiemu (woj. Nowogrodzkie). Najpraktyczniejszym sposobem łowienia wyder są żelaza talerzowe, zastawiane w wodzie lub w miejscu, gdzie wydra wychodzi na ląd (co można poznać po świeżym pomiocie, resztkach ryb).

Jeżeli żelazo zastawiamy w wodzie, musimy je umieścić na głębokość 2 dłoni. Gdy dno nierówne — podkładamy pod żelazo kamienie lub cegły. Żelazo zardzewiałe odpowiedniejsze jest do użycia w wodzie niż nowe i świecące, gdyż to ostatnie płoszy wydrę. Żelazo musi być mocno przytwierdzone, by nam schwytana wydra nie zginęła. Dobrze jest przywiązać do żelaza na długim sznurku kawałek korka lub nietonącego drewna, które nam zdradzi miejsce pobytu schwytanej wydry.

Dobrze jest znęcać ryby w pobliżu zastawionego żelaza zapomocą grochu lub siekanego mięsa. Jako odwiatr służy gałąź wierzbowa posmarowana assa-fetydą.

W żelazie zastawionem na lądzie używamy jako przynęty ryby, raka lub ptaka. Żelazo najlepiej zastawiać w miejscu, w którem wydra wychodzi na ląd lub na ścieżce, którą podąża z jednej do drugiej wody. Odmiany poza assa-fetydą używać możemy następujące: 1) wątróbka szczupaka, żółć karpia, jaja rakowe i pomiot wydry; 2) uryna z pęcherza świeżo złowionej wydry (najlepsza uryna samicy w porze godowej); 3) rybki drobno posiekane w szczelnie zamkniętej butelce wystawione na 2—3 tyg. na działanie słońca. Oleistą tą cieczą smarujemy kołek, który wbijamy w miejscu połowu.

O wiele bardziej myśliwskim jest drugi sposób: polowanie z zasadzki, w miejscu, gdzie wydra wychodzi na ląd, w księżycową noc. Siadając na czatach, bierzemy pod uwagę kierunek wiatru oraz kierunek z którego przewidujemy pojawienie się wydry. Oczywiście stanowisko obieramy za naturalną zasłoną.

Strzelać trzeba mierząc w głowę, najlepiej gdy wydra wyjdzie na ląd. W wodzie bowiem strzał jest trudny, a wydra, nawet celnie trafiona, łatwo ginie. Konieczną jest broń centralnie bijąca. Śrót najlepszy № 1.

Prosimy naszych czytelników, by w korespondencjach i przy zamówieniach powoływali się na ogłoszenia w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskiem".

Na ogólne życzenie nowo przybyłych prenumeratorów Redakcja nasza postanowiła zaradzić wyczerpaniu pierwszych numerów pisma (№ 1 — 7) przez wydanie zbiorowego numeru zawierającego początki artykułów drukowanych w późniejszych numerach.

Ponieważ koszty tego są bardzo znaczne, rozpoczniemy druk zbiorowego numeru dopiero po otrzymaniu pewnej ilości zgłoszeń.

Prosimy zgłoszenia owe kierować do administracji pisma, Warszawa, Szpitalna 12.

Redakcja

„Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Numer pojed. — **10.000 mk.** Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **20.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **2.000.000** mk.; 1/2 str. — **1.000.000** mk.; 1/4 str. — **500.000** mk.; 1/8 str. — **300.000** mk.

Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.